

DREAM WINCHES TER

C T E Ñ



Była zimna, wietrzna noc. Niespotykanie chłodna, jak na tę porę roku, w końcu nastał dopiero lipiec, sam środek lata. Jedyne źródło światła stanowił księżyc w pełni, rzucając na drzewa niebieskawą poświatę i czyniąc wszystko jeszcze bardziej przerażającym, niż było za dnia. Dookoła unosił się głośny szum liści targanych na silnym wietrze, ale Irma szła przed siebie. Nie wiedziała dokąd, brnęła na przód, chcąc znaleźć się jak najdalej od miasta, w którym teraz odbywał się festyn. Nawet tutaj, w lesie, słyszała odgłosy muzyki i śpiewów, a gdyby się odwróciła, dostrzegłaby ostry blask latarni, rozpraszaający nocny mrok.

Plakała. Każdy krok sprawiał jej ból, jednak to nie przez fizyczny ból ronila łzy. Wczoraj straciła dziecko, trzecie. Jasne się stało, że bogowie nie mieli w planach uczynić z niej matki. Jaką więc była kobietą? Jaką wartość stanowiła dla swojego męża, skoro nawet nie potrafiła dać mu potomstwa?

Trzymając się za brzuch, szła dalej. Mogłaby tu nawet zginąć, dlaczego by nie. Nic już nie miało sensu.

Dotarła do jeziora. W ciemnościach woda wyglądała jak czarna, nieprzenikniona tafla i gdyby nie odbijający się na niej księżyc, łatwo można byłoby pomylić jezioro z ogromną kałużą smoły.

Usiadła na brzegu, obejmując rozedrgane kolana ramionami. Siedziała tak dłuższą chwilę, próbując się uspokoić i wsłuchać w dźwięki lasu. Pośród świstu wiatru, pohukiwań sowy, cykad świerszczy oraz szumu liści, nagle do jej uszu dotarło coś jeszcze. Podniosła się, zaniepokojona.

Bogowie, czyżby straciła rozum? Rozejrzała się dookoła, nie wiedząc, czy przypadkiem nie zwariowała. A jednak, odgłos dziecięcego płaczu stawał się coraz to bardziej doniosły. Ruszyła za nim, niczym w transie, nie wiedząc co tak naprawdę znajdzie. Aż wreszcie, za drzewami, obok starej, myśliwskiej chaty, dojrzała małe zawiniątko. Podeszła bliżej, spoglądając na noworodka owiniętego w brudne szmaty. Dziecko płakało głośno, wijąc się na ziemi, jakby w spazmach bólu. Kucnęła, ale zaraz się odsunęła, przerażona tym, co zobaczyła.

– O Bogowie! – wyrwało się z jej ust, gdy dostrzegła rozległą ranę na policzku dziecka, ciągnącą się niżej, na małą, kruchą szyję. Wyglądało to na świeże, bardzo groźne oparzenie. Nie zastanawiała się już dłużej, momentalnie wzięła niemowlę w ramiona i wtedy zawiął mocny wiatr, prawie strącając ją z nóg. Ogarnęło ją silne poczucie niepokoju, przebijające na wskroś, wypełniające płuca i utrudniające oddychanie. Stare drzwi chaty trzasnęły, zapewne pchnięte przez wiatr, ale ona nie chciała już oglądać się za siebie. Nie wiedziała dlaczego, ale coś jej podpowiadało, aby jak najszybciej opuścić polanę, bo tu nie było zbyt bezpiecznie. Ruszyła w stronę drzew, za którymi ciągnęła się droga do miasta. Nie myślała już o niczym, nawet o bólu poporodowym, tylko przyciskając niemowlę do swojej piersi, przedzierała się przez wysoką trawę. Umysł zaczął jej już płatać figle, gdyż kątem oka dostrzegła całą masę cieni, przemykały obok niej ze świstem, a ona już nie wiedziała, co jest prawdą. Zatrzymała się. Dziecko cały czas płakało. Wariowała?

I wtedy poczuła zimną dłoń na ramieniu, popychającą ją do przodu. Obejrzała się za siebie, jednak nikogo tam nie zobaczyła.

– Idź – rozbrzmiało jej w uszach, aż znów coś ją popchnęło. – Szybko.

Zaczęła biec. Coś cały czas napierało jej na plecy, jakby pomagając jej wydostać się z lasu. Dotarła do drogi, ale wciąż czuła dotyk zimnej dłoni na swojej skórze. Coś ją ochraniało. Najpierw przywiodło do dziecka, a następnie nakazało zabrać zawiniątko i jak najszybciej uciec.

Cienie jednak wciąż krążyły dookoła niej, a Irma już nawet się nad tym nie zastanawiała. Dopóki czuła obecność tego czegoś, wiedziała, że są bezpieczni; ona i dziecko. Po przekroczeniu bram miasteczka, momentalnie ogarnął ją tłum ludzi w maskach. Tańczyli i śmiali się, świętując Noc Boga Słońca. Muzyka rozbrzmiała jej w uszach, ale cienie wciąż gdzieś krążyły. Było ich jednak coraz mniej, tutaj, w tym tłumie, zdawały się ją gubić, aż wreszcie wszystkie zniknęły. Rozpłynęły się w świetle zapalonych pochodni.

Zatrzymała się na samym środku ulicy, nie przejmując się otaczającymi

ją ludźmi. Spojrzała na twarz noworodka, który teraz był już spokojny. Duże, niebieskie oczy, zerkające na nią ciekawie, nie odwracały jednak uwagi od obrzydliwej rany.

– Kim ty jesteś...? – wydusiła cicho, ale dotarło do niej, że tak naprawdę nie potrzebowała odpowiedzi. Już pokochała to dziecko.

Silvan popatrzył na grupkę przekomarzających się chłopców, stojących tuż obok fontanny. Przepychali się, śmiali, żartowali... żeby za chwilę powieść wzrokiem za przechodzącą tuż obok nich ładną dziewczyną. Zachowywali się tak, jak zachowywaliby się chłopcy w ich wieku – całe dnie włóczyli się po mieście, psocili mieszkańcom i podrywali panny.

Zazdrościł im. No dobrze, może nie podrywania miastowych panien, ale zazdrościł im tej beztroski... zazdrościł przyjaźni.

Westchnął ciężko, dobrze wiedząc, że nie ma co się nad sobą uzalać. Nim jednak przeszedł przez skwer, upewnił się jeszcze, że włosy dobrze zakrywały połowę jego twarzy. Przez to, co się na niej znajdowało, nie mógł być jak reszta. Dzieciaki zawsze trzymały się od niego z daleka, powtarzając słowa rodziców o tym, że został przeklęty przez samego diabła. Teraz jednak, gdy lada moment miał skończyć osiemnaście lat, coraz mniej już się tym przejmował. Zdażył przyzwyczaić się do samotności, a nawet zauważać, że bycie blisko innych ludzi przynosiło tylko wiele cierpienia. Ludzie krzywdzili się nawzajem, samotność nie była więc taka zła. Zresztą, miał przecież kochającą matkę, wiele więcej nie potrzebował. A przynajmniej tak sobie wmawiał.

Do apteki dotarł niezauważony przez grupkę chłopców, co przyjął z ulgą. Znał ich, a oni – niestety – znali również jego i nie omieszkaliby go w jakiś sposób zaczepić, gdyby tylko mieli taką okazję. Silvan nie raz już zdażył się o tym przekonać, zawsze więc próbował ich unikać, a w szczególności Zorę.

Zora, uchodzący za jednego z przystojniejszych młodzianów w Selthe, był dla Silvana istnym utrapieniem. Nie dlatego, że lubił się nad nim znęcać, jak reszta chłopców, bo wcale nie robił tego otwarcie. To on odwoził swoich kompanów od przeróżnych pomysłów w jaki sposób urozmaicić Silvanowi życie. Nie raz stawał w jego obronie, co dla Silvana wiele znaczyło. Zbyt wiele, bo przez swoje położenie potrafił docenić każdy, najmniej wrogi gest.

– Witaj, Silvanie! – zakrzyknął stary pan Caleb, właściciel apteki. Przyjaźnili się z jego ojcem już od czasów dzieciństwa i to może dlatego Caleb nie miał w sobie tyle niechęci do Silvana, co reszta mieszkańców miasta. – Przysłała cię Irma? Jak z jej zdrowiem? Zioła, które jej dałem, działają?

Silvan uśmiechnął się lekko, już tak nie kryjąc się za swoimi włosami. Popatrzył na Caleba i kiwnął głową.

– Tak. Mama mówiła, że teraz może zasnąć bez problemu. Przysłała mnie tutaj ze względu na ojca, ostatnio ciągle ma napady gorąca.

– Doprawdy? Widziałem się z nim parę dni temu, nic nie wspominał.

– To zaczęło się wczoraj – odparł Silvan. – Jest bardzo nerwowy i mówi, że serce wali mu jak szalone.

– Hm – zamruczał pod nosem aptekarz. – Poczekaj tu chwilę, przyniosę ci głóg i rutę. To powinno pomóc.

Silvan kiwnął głową. Nigdzie się nie spieszył, mógł tu jeszcze postać, z dala od ciekawskich spojrzeń. Naprawdę nie lubił wychodzić do miasta, ale nie potrafił odmówić matce. Była naprawdę zaniepokojona stanem ojca, chociaż dla Silvana nic w jego zachowaniu się nie zmieniło. Zawsze był bardzo porywczy, ciągle go wszystko denerwowało... z jego rąk Silvan nie zaznał wiele dobrego.

– Już jestem. – Aptekarz wkroczył do pomieszczenia, trzymając w dłoniach malutki słoiczek. – Daj to ojcu, niech robi z tego napar i wypija rano na pusty żołądek.

Silvan uśmiechnął się, zapłacił oraz podziękował, by następnie, najszybciej jak to tylko możliwe, pokonać dzielący go dystans z apteki do

karczmy rodziców.

Naprawdę nie lubił wychodzić do miasta.

– Możesz iść – powiedziała łagodnie matka, a on tylko wyczekiwał tych słów. – Nie ma teraz zbyt wiele do roboty, ale pamiętaj, żeby stawić się na wieczór – dodała, chociaż wcale nie musiała. Silvan nigdy nie sprawiał problemów. Zawsze był obowiązkowym, uczynnym chłopcem i zawsze też chętnie pomagał, a w karczmie na parę rąk do pomocy nikt nigdy nie narzekał. Jego mama jednak nie chciała zasypywać go całą masą obowiązków, wiedziała zresztą, jak bardzo jej syn cenił sobie swoje samotne wyprawy do lasu. Nie miałyby serca mu ich zabronić, tylko tam Silvan czuł się bezpieczny.

Wyszedł z karczmy tylnymi drzwiami. Przeszedł przez podwórko, mijając małą stajenkę, w której goście zostawiali swoje konie, aż wreszcie pędem puścił się do lasu. Gdy tylko minął pierwsze drzewa, odetchnął. Tutaj nie musiał się kryć. Mógł w pełni odsłonić swoją twarz, bo wiedział, że i tak nikt na niego nie patrzył.

Biegł jeszcze przez chwilę, nie trzymając się wydeptanej ścieżki. Po prostu gnał przed siebie, aż wreszcie stanął przy urwisku. Spojrzał w dół, na roztaczającą się przed nim polanę oraz jezioro. Żeby tam jednak dotrzeć, musiał iść jeszcze kawałek dalej. Urwisko było zbyt strome i kamienne, wystarczyłoby tylko, aby skały były śliskie i tragedia gotowa. Jedna rana i tak już mu szpeciła twarz, nie potrzebował kolejnych.

Chciał ruszyć przed siebie, gdy usłyszał rozbrzmiewające nieopodal śmiechy. Zamarł, spoglądając w stronę przebiegającej niedaleko ścieżki, którą zazwyczaj jeździły powozy kupców. Dojrzał sylwetki trzech chłopców, ale rozpoznał je dopiero wtedy, gdy dotarł do jego uszu charakterystyczny, wesoły śmiech.

Tętno momentalnie mu przyspieszyło, a w piersi zaczęło go coś łaskotać.

Szybko ruszył przed siebie, mając nadzieję, że tu, wśród drzew, nikt go nie zauważy.

Zora śmiał się serdecznie, a jego głos niósł się po lesie, wywołując w ciele Silvana całą masę dziwnych reakcji. Silvan wiedział co one oznaczały, w końcu zdarzało mu się czytać przeróżne książki traktujące o miłości. Miłości kobiety i mężczyzny, rzecz jasna. I to go najbardziej przerażało, Zora był przecież mężczyzną.

Przystanął na moment, chowając się za jednym z drzew. Chłopcy poszli dalej, przed siebie, nie zauważywszy go nawet. Odetchnął z ulgą, nie chciał im wchodzić w drogę.

Oparł czoło o korę brzozy, zastanawiając się, co takiego zrobił, że bogowie przeklęli go nie tylko żarzącym się na jego policzku i szyi znamieniem, ale i również miłością do mężczyzny? Czy w poprzednim życiu zawinił tak bardzo, że nawet jego rodowita matka go nie chciała i porzuciła w lesie? Dokładnie w tym, w którym się teraz znajdował, należy dodać.

Irma nie była jego prawdziwą matką, ale kochała go jak swojego syna. Z jej opowieści dowiedział się, że nie mogła mieć dzieci, poroniła trójkę i kiedy już myślała, że wszystko stracone, znalazła zawiniątko na samym środku polany. Mówiła, że był darem z niebios, ale Silvan nie potrafił w to uwierzyć. Odruchowo sięgnął dłonią do swojej twarzy, przesuwając po nierównej skórze policzka. Nikt nie wiedział, co to takiego było, wyglądało niczym bardzo świeże poparzenie, jakby zrobił to sobie zaledwie wczoraj. Z rany ciągle sączyła się ropa i była mocno zaogniona. Chociaż miał ją od urodzenia, nigdy się nie wygoiła.

Sapnął ciężko, opadając na ziemię. Oparł plecy o pień brzozy, żeby spojrzeć w dół, na polanę i jezioro, gdy w pewnym momencie poczuł dreszcz przebiegający mu po plecach. Rozejrzał się dookoła, mając wrażenie, że ktoś go obserwuje, ale jak zwykle nikogo nie zastał.

„Darem od niebios” było dla niego nie tylko to przeklęte znamię, ale również obce, a jednocześnie tak bliskie poczucie, że ktoś jest obok niego. Ktoś

ciągle zdawał się na niego patrzeć, czasem Silvan nawet dostrzegał kątem oka przebiegający cień, ale gdy próbował go dojrzeć, natrafiał na pustkę.

Powinno go to przerażać, miał bowiem poczucie, że to coś, co cały czas trwało u jego boku, nie było niczym dobrym. Miało w sobie mrok, który Silvan czuł, ale którego nie potrafił zdefiniować i wyjaśnić. Mimo wszystko nie bał się go. Ten cień był z nim od samego początku i nigdy nie wyrządził mu krzywdy. Wręcz przeciwnie, czasem go chronił. Jak wtedy, gdy wybrał się na przejażdżkę konno i spadł, jednak nie wyrządził sobie większej krzywdy – *to coś* go wtedy złapało i uchroniło przed bolesnym zderzeniem z ziemią. *To coś* jednak nigdy się nie ujawniło, zauważył tylko cień i poczuł obejmujące go, zimne, nieludzkie ramiona. Albo jak wtedy, gdy prawie utonął w jeziorze. Do teraz pamiętał dotyk chłodnych dłoni na ciele, ciągnących go w górę.

Silvan jęknął cierpiętniczo, zgniatając w ręce grudkę ziemi. Na bogów, naprawdę był przeklęty! A teraz, w przeddzień osiemnastych urodzin, nie potrafił nie zastanawiać się nad sensem swojego istnienia. Może naprawdę było tak, jak mówili ludzie – przeklął go sam diabeł? Na tę myśl aż zadrzał z niepokoju, takie rozważania w samym środku lasu nie były zbyt przyjemne.

Spróbował się uspokoić. Powiódł wzrokiem w stronę polany, gdzie dostrzegł trzy postacie – Zorę i jego kolegów; Nathana i Jeremiego. Zdejmowali szybko ubrania, najwidoczniej mając ochotę wykąpać się w jeziorze. Obserwował ich chwilę uważnie, kiedy gałąź leżąca tuż obok niego pękła w pół, zupełnie, jakby ktoś na nią nadepnął. Przestraszony Silvan podniósł się szybko – za szybko – gdy nagle jego stopa osunęła się w grząskiej ziemi. Upadł z powrotem na pośladki, żeby zaraz zsunąć się niżej, prosto w przepaść. Krzyknął urywanie, przestraszony, już myśląc, że zaraz czeka go bardzo bolesne spotkanie ze skałami znajdującymi się kilka metrów niżej. I wtedy znowu to poczuł. Te znajome ręce, przytrzymujące go i sprawiające, że nie spadał, a sunął bezboleśnie po skałach i ziemi. Odruchowo obejrzał się za siebie, ale nic nie dostrzegł. Wtedy jednak jego ciało nabrało pędu, a on, już wcale nie tak bezboleśnie, upadł, zwracając na siebie uwagę kąpiących się

chłopaków.

Stęknął ciężko, kątem oka zauważając, że chłopcy wycofali się z wody, a jedyny, który jeszcze do niej nie wszedł – Zora – zaczął zmierzać w jego stronę.

– To ten dziwak! – krzyknął ze zdumieniem Nathan, a Silvan zaraz podniósł się na równe nogi. I to znowu był błąd, gdyż jego niedawno co obite pośladki odezwały się bólem.

– Wszystko w porządku? – zapytał Zora, będąc już tuż obok. Silvan wpatrzył się w jego bystre, niebieskie oczy, żeby zaraz zrobić krok w tył. Chrząknął nerwowo, próbując jednocześnie dodać sobie trochę animuszu. Nienawidził być „tym słabym”, więc zawsze udawał, że wszystkie zaczepki chłopaków go nie ruszały.

– Tak – odpowiedział zaraz, a jego serce jak zwykle, gdy Zora był w pobliżu, zabiło szybciej. – Poślizgnąłem się.

– Śledzisz nas? – zapytał Jeremi, niski, ale niesamowicie wyszczekany dzieciak z burzą płowych włosów. – Czy może klątwy rzucasz? – parsknął.

– Daj spokój, taka pokraka nawet tego by nie umiała.

Silvan przewrócił oczami, ale nic nie odpowiedział. W zamian wyminął ich i zaczął iść w stronę jeziora. Wystarczyło je obejść, żeby dojść do ścieżki, która z kolei prowadziła do głównej drogi do miasta.

– Ej, co tak szybko spadasz, Szramo? – Ciężka dłoń Nataniela, który chyba miał z dwa metry wysokości, wylądowała na ramieniu Silvana, zatrzymując go brutalnie w miejscu. – Najpierw wypadałoby przeprosić.

– Puść mnie – warknął Silvan, nie okazując chociażby krzty strachu. Z całej ich trójki to właśnie Nataniela darzył najmniejszą dozą sympatii. Nie tylko był niezwykle wyrosnięty jak na swój wiek, przez co Silvan, chociaż nie przyznałby tego na głos, momentami się go bał. Był też najbardziej wulgarny. Przy nim Jeremi był przyszczem... dosłownie i w przenośni.

– Zostaw go – odezwał się Zora, czym zresztą wcale nie zaskoczył Silvana. Wiele nieprzyjemnych wydarzeń nie doszło do skutku właśnie dzięki Zorze.

– Mam ochotę wrzucić go do jeziora i zamoczyć mu tę szpetną buźkę – zarechotał. – A może przyłożymy do niej łajno? – Wymyślał dalej. – Próbowałeś już tego, brzydalu? Może gówno by ci pomogło? – parsknął śmiechem, w czym zaraz zawtórował mu Jeremi.

– Aż tak pociągają cię odchody? – prychnął Silvan, ani myśląc tylko stać i się nie odzywać. I to właśnie były jego największe błędy w starciu z Natanielem i Jeremim. Może gdyby siedział cicho, wiele rzeczy nie miałyby miejsca?

Oczy Nataniela zwęziły się ostrzegawczo

– Zaraz będziesz inaczej szczeakał... – warknął, robiąc krok w stronę Silvana.

– Dajcie spokój. – Zora znów zainterweniował. – Zostaw go i chodźmy może już do tej chaty? – zapytał, zupełnie jakby chciał odciągnąć ich od Silvana.

– A może go w niej zamkniemy? Taki potwór powinien siedzieć w zamknięciu. – Rechotał dalej Jeremi.

– Przestań – fuknął Zora.

– Zawsze go tylko bronisz – zarzucił koledze Nataniel. – Bo zaraz zacznę coś podejrzewać.

Zora przewrócił oczami, rzucając tylko krótkie spojrzenie w stronę Silvana, który mimo wszystko wiedział, dlaczego chłopak to robił. Przyjaźnili się. Kiedyś, jak jeszcze byli małymi dziećmi. Później dorośli, Zora poszedł w swoją stronę, a Silvan... cóż, Silvan zdawał się stać w miejscu.

– Nie bądź głupi – prychnął Zora, a Nataniel sapnął ciężko, nieusatisfakcjonowany. Ostatecznie jednak puścił Silvana, a nawet wyminął go, niezainteresowany dalszym gnębieniem.

– To co? Zajrzemy do tej chaty? – zapytał zaraz Jeremi, zrównując swój krok z Natanielem. – Może zostały tam jeszcze jakieś rzeczy po wiedźmie.

– Nie bądź głupi i nie wierz w bajki. Tam nic nie ma.

Zora nie ruszył jednak za kolegami. Popatrzył na Silvana przepraszająco.

– Wszystko w porządku? – zapytał, a Silvan musiał odwrócić spojrzenie. Czuł, jak paliły go policzki. Dlaczego Zora taki był? Gdyby zachowywał się jak jego przyjaciele, wszystko byłoby łatwiejsze, Silvan czułby do niego jedynie odrazę, a tak...

– W porządku – odpowiedział tylko krótko i już miał się odwrócić, gdy zatrzymały go słowa Zory:

– Jutro masz urodziny, prawda?

– Skąd wiesz? – popatrzył na niego podejrzliwie. Zora uśmiechnął się tylko szeroko i wzruszył ramionami.

– Twoja mama powiedziała mojej. Wpadnę dzisiaj, dobra? – zapytał, a Silvan aż wciągnął ze świstem powietrze, otwierając szeroko ze zdziwienia oczy. Nie tego się spodziewał.

– P-po co? – zająknął się, żeby w odpowiedzi otrzymać kolejny rozbrajająco szczery uśmiech Zory.

– Nie zawsze osiąga się pełnoletniość – dodał tylko, a Silvan, czując jak uginają się pod nim nogi, obrócił się na pięcie i najszybciej jak to tylko możliwe, odszedł.

Na bogów, co to był za okrutny żart?

Wieczorem jak zawsze w karczmie było pełno ludzi. Annie i Yvon, kelnerki, uwijały się jak w ukropie, roznosząc napitki i stawy, a stary Thomas, przyjaciel ojca, który pracował jako barman, ledwo co wyrabiał się z rozlewaniem piwa. Silvan pomagał mamie w kuchni, chociaż nie do końca przy posiłkach (kucharz był bowiem z niego marny). Po prostu to biegał do ogrodu po wodę ze studni, to zmywał naczynia, a w międzyczasie jeszcze dokładał drwa do pieca, żeby kuchnia wciąż funkcjonowała. Już po godzinie takiej pracy był wykończony, ale wiedział, że goście jeszcze nie zamierzali wychodzić. Nie narzekał jednak, to dzięki karczmie żyli w dostatku. Przynosiła

im naprawdę spore dochody.

– Silvanie? – zapytała w pewnym momencie mama, kiedy przyniósł kolejne wiadro wody. Popatrzył na nią ze zdziwieniem. – Jutro masz urodziny – powiedziała, jakby jej syn nie zdawał sobie z tego sprawy. – Chciałabym ci coś dać.

– Już teraz? – zdziwił się.

– Do północy zostały niecałe dwie godziny – zauważyła. – Możemy powoli zacząć świętować – dodała tym swoim łagodnym tonem głosu, który Silvan tak uwielbiał.

Wyciągnęła z kieszeni swojego fartuszka mały lniany woreczek, żeby zaraz podejść z nim do swojego syna.

– Miałaś to zawinięte w szmatkach, w których cię znalazłam – powiedziała, wręczając mu pakunek. Silvan spojrzał na niego ze zdziwieniem. – Nie dałam ci tego od razu, jest... zbyt duże, aby nosiło to dziecko. Nie pokazywałam też twojemu ojcu, bo... – chrząknęła. – Wiesz jaki on jest.

Silvan kiwnął głową, zabierając się do rozplątywania supła, a gdy wyciągnął z worka złoty wisior ze sporym, karmazynowym kamieniem, zrozumiał. Ojciec chciałby to najzwyczajniej w świecie spieniężyć. Na samą myśl aż uśmiechnął się krzywo, bo biżuteria wyglądała na naprawdę drogą.

– Teraz jednak uznałam, że to idealny czas, abyś to dostał – powiedziała Irma, wyciągając dłoń i gładząc czule syna po zdrowym policzku. – To twoja pamiątka rodzinna... może ofiarowała ci to twoja prawdziwa mama?

Silvan momentalnie zgromił ją wzrokiem.

– TY jesteś moją mamą.

Irma uśmiechnęła się, wyraźnie rozrzewniona, żeby zaraz przyciągnąć Silvana do swojej piersi.

– Wyrosłeś na wspaniałego młodzieńca – pochwaliła. – I na jakiego dużego! – dodała zaraz, spoglądając w górę. Silvan zaśmiał się, nieco zawstydzony.

– Bez przesady. – Nie był w końcu ani zbyt wysoki, ani niski. Całkowicie

przeciętny, ale Irmę nie trudno było przerosnąć, jego mama należała do naprawdę drobnych kobiet.

– Jesteś moim skarbem. Prezentem od bogów – powiedziała jeszcze, a wtedy rozległo się ironiczne parsknięcie. Irma i Silvan spojrzeli w stronę drzwi, w których stał Ian, mąż Irmy, a przyszywany ojciec Silvana.

– Zrobisz z niego mięczaka – prychnął, zabierając bochen chleba z blatu.
– Co ja pieprzę, już zrobiłaś – powiedział, patrząc na Silvana błyszczącymi od gorączki oczami.

– Ian – skarciła go Irma, żeby zaraz podejść do męża i położyć mu rękę na czole. – Jesteś rozpalony. Leki od Caleba nie działają?

– Najwidoczniej. Ten stary dziad pewnie wcisnął mi jakieś gówno – warczał, wyraźnie wymęczony chorobą. Ojciec zawsze był bardzo nerwowym człowiekiem, teraz jednak, przez gorączkę, nie dało się już z nim wytrzymać. – A ty co tak patrzysz? – warknął na syna. – Jak nie masz co robić, to marsz na salę! Annie i Yvon na pewno potrzebują pomocy! – prychnął, a Sivan nawet nie chciał się z nim kłócić. Wcisnął tylko wisiołek do kieszeni spodni, żeby zaraz przemknąć obok mamy i wciąż narzekającego ojca. Wyszedł na salę i zaraz dołączył do dziewczyn, zbierając ze stołów puste naczynia.

Nie wiedział ile czasu minęło, ale goście z chwili na chwilę stawali się coraz bardziej irytujący i z pewnością ilość wypitego alkoholu miała z tym wiele wspólnego. Annie i Yvon potrafiły już ignorować zaczepiających je podpitych mężczyzn, a on nawet nie zwracał uwagi, kiedy ktoś rzucał jakieś uwagi na temat jego blizn. Naprawdę jednak chciałby, aby ten wieczór już się skończył.

Wycierał jeden ze stolików, kiedy ktoś zakradł się do niego od tyłu.

– Hej! – Niemal podskoczył. Przestraszony popatrzył na szczerzącego się tuż obok Zorana. – Mówiłem, że przyjdę!

Silvan zamrugnął. Może i mówił, ale naprawdę się go tu nie spodziewał. Chrząknął, prostując się.

– Jest późno – zauważył, pochylając nieco głowę, aby włosy zakryły jego

bliznę. To już był odruch.

– Może. Za chwilę północ.

– I?

Zora uśmiechnął się szeroko, ale jednocześnie z lekkim zawstydzeniem.

– Twoje urodziny – powiedział, jakby musiał o tym Silvanowi przypominać. – Chciałbym coś ci dać.

Silvan czuł, jak zaczyna się denerwować, zrobiło mu się niesamowicie gorąco, chociaż stali przy otwartym na oścież oknie. Przeształ z nogi na nogę, zastanawiając się, jak to możliwe, że dzień jego urodzin zapowiadał się tak wspaniale?

– Ale nie tutaj – sprostował zaraz Zora, kiedy Silvan już otwierał usta, aby coś odpowiedzieć. – Tu... nie możemy. – Chrzął, cały czerwony na twarzy. Silvan otworzył szeroko oczy, sam nie wierząc w co widzi. Serce zabiło mu szybciej, a w gardle poczuł mocny uścisk będący wynikiem ekscytacji przed nieznanym. Co takiego Zora chciał mu dać?

– Chcesz wyjść?

– Gdzieś, gdzie nikt nas nie zobaczy. – O bogowie! Tak dawno już nie był z Zorą sam na sam! Ostatni raz miał miejsce wtedy, gdy jeszcze wspólnie ganiłi kaczki i kury; mieli może po osiem, dziewięć lat.

– Stajnia? – zapytał, na co Zora odpowiedział mu kolejnym, rozbijającym szerokim uśmiechem. Nim Silvan zdążył jakkolwiek zareagować, były przyjaciel już ciągnął go w stronę wyjścia z karczmy. Owiało ich chłodne, lipcowe powietrze. Lato tego roku nie zapowiadało się na zbyt ciepłe, na co jedni narzekali, a inni wręcz przeciwnie. Silvan zdążył już przesiąknąć tymi barowymi rozmowami.

Z szybko bijącym sercem przeszli przez podwórze, aby dotrzeć do drzwi stajni. Trzy konie, które się w niej znajdowały, popatrzyły zaraz na nich zaalarmowane. Przywiązana najbliższej klacz nawet prychnęła, odsuwając się na tyle, na ile pozwoliła jej lina, którą była przywiązana do pałaka.

– Mam nadzieję, że nie masz mi niczego za złe – powiedział Zora,

wbijając w niego swoje duże, niebieskie oczy. Silvan się spieszył. Gdyby to był ktokolwiek inny – na przykład taki Nathan czy Jeremi – już by go wyśmiał. Jednak Zora... nie potrafił się na niego gniewać. W szczególności nie w takich okolicznościach jak ta, znajdowali się przecież sami w stajni! Na bogów, to musiał być sen!

Zora przybliżył się do Silvana. Wydawał się bardzo niepewny, ale w końcu wyciągnął rękę i położył ją na policzku swojego przyjaciela – zdrowym policzku, należy dodać.

– Widziałem twoje spojrzenia – powiedział drżącym głosem. Denerwował się, zresztą, nie on sam. Silvan miał wrażenie, że zaraz ugną się pod nim nogi. Nie wierzył w to, co się właśnie działo. – Czy... dobrze je interpretuję? – zapytał, patrząc na Silvana z obawą.

Musiał przełknąć ślinę. Czuł, że w jednej chwili całkowicie zaschło mu w gardle. Zaraz jednak w jego głowie pojawiła się myśl, że to musiał być jakiś żart i że lada moment a zza snopków siana wyskoczą Jeremi i Nathan. Szybko odsunął się od Zory, a kiedy na jego twarzy zobaczył nie rozbawienie, a przerażenie, zrozumiał.

Zora chyba nie żartował. Zresztą, Jeremiego i Nathana wciąż tu nie było.

– Ty... nie żartujesz? – zapytał jeszcze, na co Zora zaraz zaprzeczył ruchem głowy. – Bo... tak. Dobrze interpretujesz – wymamrotał, czując się w tamtym momencie jak największy głupiec świata. Nim zdążył cokolwiek zrobić, Zora już przy nim był. Objął go mocno w pasie, przyciągając do chaotycznego pocałunku, pełnego młodzieńczej zapalczywości i braku wprawy.

W głowie Silvana zapanowała pustka. Nie wiedział gdzie się znajduje, wiedział jedynie, że jeśli to wszystko było snem, naprawdę nie chciał się budzić. Odpowiadał na pocałunek, wykazując się równą niewiedzą techniczną, co Zora, ale to nie miało żadnego znaczenia. Dla nich obu był to pierwszy w życiu pocałunek... Chociaż nigdy by nie przypuszczał, że Zora jeszcze nie całował panien. Widział przecież, jak ten się za nimi oglądał!

I nagle usłyszeli krzyk. Rozdzierający, męski krzyk, do którego zaraz dołączył kolejny, kobiecy. Zora podskoczył, przez przypadek gryząc Silvana w język. Odsunęli się od siebie, w pierwszej chwili nawet nie zwracając uwagi na posmak krwi w ich ustach.

– Co to było? – zapytał przestraszony Zora, a wtedy konie zaczęły parskać i przebierać nerwowo kopytami.

– Nie wiem – powiedział zgodnie z prawdą Silvan. – Dobiegało z karczmy – powiedział, żeby zaraz wyjrzeć ze stajni. Wtedy rozległ się kolejny krzyk, a następnie seria błagań o pomoc. Jakieś trzaski, huki i następne krzyki. Przez małe okienka budynku nie był w stanie jednak nic dojrzeć.

Już miał ruszyć w stronę karczmy, przypominając sobie, że przecież tam znajdowała się jego mama, kiedy poczuł silny uścisk na nadgarstku. Obrócił się w stronę przestraszonego Zory.

– Nie idź tam!

Nie wiedział co zrobić. Zdezorientowany i przerażony patrzył to na karcznię, to na Zorę, ale gdy nocną ciszę przerwał kolejny huk, już się nie zastanawiał. Jego mama była w niebezpieczeństwie. Pierwszą logiczną myślą, było to, że ktoś ich napadł. Przejeżdżający tędy rabusie? W końcu niedaleko znajdowała się droga będąca ważnym szlakiem łączącym aż trzy miasta, już nie raz zmagali się z rozbójnikami, jednak nigdy nie stało się nic poważniejszego.

Wybiegł na zewnątrz i aż musiał na moment przystanąć. W jednym momencie zerwała się wichura tak silna, że poderwała z ziemi ziarenka piasku i liście. Musiał zakryć twarz ramieniem, ale parł na przód, a kiedy wreszcie dotarł do karczmy, zamarł.

Nie tego się spodziewał. Ciało zaczęło drżeć mu niekontrolowanie, a oczy wypełniać się łzami. Rozejrzał się dookoła, w pierwszej chwili chcąc zawrócić i najlepiej się gdzieś ukryć. Wszędzie były truchła gości, porozdzierane tak, jakby dotarli tu nie rabusie, a co najmniej stado wilków czy kilka niedźwiedzi. Wszystko brodziło we krwi i flakach, dookoła unosił się mocny zapach posoki i

fekaliów.

Przeszedł dalej, do baru, a gdy tuż przed jego nogami przeturlała się głowa Yvon, wrzasnął. Już nie hamował łez, te spływały po jego policzkach, kiedy rozglądał się z przerażeniem w poszukiwaniu sprawcy tej makabry. W karczmie jednak panowała cisza, mimo że jeszcze chwilę temu słyszał dobiegające stąd wrzaski gości.

Nagle jednak rozległ się krzyk, który przeszył go na wskroś. Mama. Nie czekał już dłużej, przeszedł nad głową kelnerki, szybkim krokiem kierując się na zaplecze, do kuchni. Wciąż drżał ze strachu, jednak teraz nie mógł już zawrócić, chociaż coś podpowiadało mu, że zginie. Podzieli los gości, zostanie rozerwany na strzępy, a jego wnętrzności upstrzą deski karczmy.

Po drodze porwał jeszcze nóż z jednego stołu, jednak wątpił, aby miał szansę się nim obronić. Dopadł do kuchni i tu znów po raz kolejny zamarł. Szeroko otwartymi oczami wpatrywał się w ojca, wbijającego rękę w brzuch matki. Jeszcze przez ułamek sekundy patrzył, jak krew jego kochanej matuli broczy na wszystko dookoła, ale to wystarczyło. Żal, strach, wściekłość i niezrozumienie nagle się w nim zebrało, doprowadzając go do furii. Ruszył na ojca i korzystając z jego nieuwagi, wbił mu nóż w szyję.

Czemu ojczym to zrobił? Przecież kochał matkę! Silvana nigdy w pełni nie zaakceptował, ale Irma wiele dla niego znaczyła!

Ojciec odepchnął go z niesamowitą siłą. Uderzył plecami o szafki kuchenne, wydając z siebie głuchy jęk, ale kiedy podniósł głowę, zrozumiał – to nie był Ian. To nie mógł być Ian! Patrzyły na niego kompletnie czarne oczy, a na podstarzałej twarzy mężczyzny pojawiły się grube żyły, niemal przebijające przez skórę. Wydał z siebie dziki ryk i Silvan był już pewny – to było coś, co przybrało postać ojca. Coś, czego nie potrafił zrozumieć, bo na pewno nie pochodziło z tego świata.

Ojciec – albo raczej potwór – ruszył na niego, jakby miał w zamiarze zrobić to samo, co z pozostałymi gośćmi. Silvan mógł się tylko skulić w oczekiwaniu na przeszywający ból, kiedy zamiast tego usłyszał dźwięk

łamanych kości. Z przerażeniem uchylił powieki i zaraz tego pożałował. Ciało mężczyzny wyginało się w przeróżnych kątach, zupełnie jakby był marionetką. Trwało to zaledwie chwilę, bo zaraz opadło na podłogę, wygięło się w łuk, żeby wydać z siebie ostatni dziki ryk, wraz z którym usta ojca opuścił gęsty obłok dymu.

Silvan nie wierzył w to co widzi. Wcisnął się jeszcze bardziej w szafkę, jakby chciał się z nią stopić, ale wtedy dojrzał coś kątem oka – do pomieszczenia wszedł wysoki mężczyzna. Przez moment trzymał jeszcze wyciągniętą przed siebie rękę, z dziwnym znamieniem na jej wierzchu, ale wreszcie ją opuścił.

– Szybciej niż myślałem – mruknął do siebie, patrząc na rozerwane truchło kobiety. Dopiero wtedy do Silvana dotarło, co się stało. Mama!

Dopadł do ciała Irmy, drżącymi dłońmi dotykając jej twarzy umorusanej we krwi.

– Mamo – załkał, jakby z nadzieją, że ta zaraz otworzy oczy. Nie otworzyła.

– Musimy iść – dobiegł do niego głos mężczyzny. – Tu nie jest bezpiecznie.

Silvan obejrzał się na niego i aż zdusił w sobie przerażony jęk, kiedy spojrzały na niego iskrzące się, czerwone oczy. To też nie był człowiek! Co tu się działo?! Miał wrażenie, że znalazł się w jakimś koszmarze, że zaraz się wybudzi i wszystko wróci do poprzedniego stanu. Nic takiego jednak się nie działo, nie budził się. Wciąż tkwił w tej kuchni przepelnionej zapachem krwi matki.

Krzyknął. Przyłożył dłonie do obu stron głowy, kuląc się i krzycząc. To nie mogła być prawda, nie mogła, nie mogła, nie...!

Poczuł delikatny dotyk chłodnej, dziwnie znajomej dłoni na swoim czole, a później jego umysł się uspokoił. Wszystko dookoła się wyciszyło, pozostawiając po sobie błogie ukojenie. Wiedział tylko, że mężczyzna wziął go na ręce. Niósł go gdzieś, mówiąc przy tym coś, czego Silvan nie był w stanie

zrozumieć, ale głęboki głos mężczyzny przynosił mu upragnioną ulgę.

Nie chciał się już wybudzać z tego stanu, bo nie wiedział, czy da radę sprostać rzeczywistości.

Pierwszym, co dotarło do jego uszu, były odgłosy muzyki. Skoczna gra na lutni, której towarzyszyły śpiewy... mnóstwo śpiewów. I rozmowy, wydobywające się z wielu gardeł, zbijające się w jedno. Poruszył się nerwowo, chcąc otworzyć oczy, co początkowo przyszło mu z trudem. Uchylił powieki, żeby zaraz je zamknąć. Stęknął ciężko, kiedy poczuł przeszywający umysł ból, który z chwili na chwilę się nasilał i stawał coraz bardziej uporczywy, ale wtedy znów to poczuł. Ten znajomy dotyk. Zimna dłoń znalazła się na jego czole, a ból momentalnie minął, pozostawiając po sobie jedynie ogromną ulgę.

Nie wiedział ile minęło, ale uchylił oczy i pierwszym co zobaczył, była przystojna, blada twarz jakiegoś mężczyzny. Patrzył na niego badawczo, a Silvan z chwili na chwilę zaczynał dostrzegać coraz więcej szczegółów. Mężczyzna mógł mieć z dwadzieścia parę lat, był naprawdę urodziwy, ale niezdrowo blady. A barwa jego tęczówek... Silvan aż wciągnął nerwowo powietrze, wpatrując się w czerwone niczym krew oczy.

Właśnie! Krew!

Poderwał się momentalnie do siadu, odsuwając się od mężczyzny z przerażeniem. Krew! Tam było tyle krwi! Goście w karczmie (a raczej to co po nich pozostało) i jego ojciec... Na bogów, mama! – z chwili na chwilę zaczął ogarniać go tak silny strach, przenikający do każdej komórki i wypełniający go od wewnątrz, że aż na moment zapomniał jak się oddycha. Szybko rozejrzał się dookoła, jakby zaraz miał dojrzeć porozdzierane zwłoki, ale zdał sobie sprawę, że znajdował się w schludnym pomieszczeniu gdzieś na poddaszu.

– Uspokój się – powiedział mężczyzna. Jego wyprany z emocji głos przeszył Silvana na wskroś. Był niski, wibrujący, ale przy tym budzący w

Silvanie lęk. – Nic ci już nie grozi – dodał.

Przełknął ślinę, odsuwając się w stronę ściany. Leżał na łóżku, przy którym wciąż stał mężczyzna. Zza okna dobiegały go odgłosy festynu, a on szybko zdał sobie sprawę, że był wieczór. Czyli... od tamtych wydarzeń minął prawie cały dzień? Ale co najważniejsze – czy to w ogóle się wydarzyło?

– Co się stało? – zapytał drżącym głosem, a kiedy mężczyzna przysiadł na łóżku, Silvan zapragnął wcisnąć się w ścianę, byleby tylko być jak najdalej od tego przerażającego człowieka.

– Nie pamiętasz? – Czerwone oczy badały uważnie twarz Silvana. – Wiesz w ogóle kim jestem?

Zamrugał zdezorientowany, skąd miał wiedzieć, na bogów?! Pierwszy raz widział tego człowieka na oczy.

– N-nie – zająknął się.

Mężczyzna westchnął ciężko, żeby zaraz potrzebować nerwowo skronie, jakby nagle rozboleła go głowa.

– W co ty mnie wpakowałaś, Siena? – zapytał samego siebie, ale po chwili posłał Silvanowi wyprane z emocji spojrzenie. Niczym kukła niezdolna do odczuwania uczuć, albo... coś, co nie pochodziło ze świata znanego Silvanowi.

– Uwierz, że mnie znasz – powiedział spokojnym, monotonnym głosem. Po plecach Silvana przebiegł nieprzyjemny dreszcz. – Jestem przy tobie zawsze.

– Zawsze?

W pokoju rozbrzmiało kolejne ciężkie westchnienie.

– Pamiętasz, jak się topiłeś w jeziorze? Albo jak rzucił się na ciebie pies starych Reynoldów? – Silvan zmarszczył brwi, powoli zaczynając rozumieć, skąd znał ten dotyk chłodnych dłoni. – Byłeś nieuważnym dzieckiem, miałeś wiele okazji, żeby...

– Ciebie – szepnęła, patrząc na mężczyznę z jeszcze większą obawą. Ten uniósł brwi w wyrazie zdziwienia.

– Ciebie?

– Jesteś tym czymś, co zawsze jest obok – powiedział drżącym głosem.

Gdyby tylko mógł, już wtopiłby się w ścianę.

Nieznajomy kiwnął powoli głową, przyglądając się Silvanowi jeszcze uważnie.

– Tak. Ale mam imię, jestem Agandel – przedstawił się, wcale jednak nie ukracając przerażenia Silvana.

– N-nie jesteś człowiekiem? – zapytał, a gdy słowa rozbrzmiały w jego uszach, momentalnie pożałował, że zadał to pytanie. Chyba nie chciał słyszeć odpowiedzi.

– Nie jestem – odpowiedziała spokojnie istota, do złudzenia przypominająca człowieka. – To... – Wyciągnął przed sobą rękę, na której wierzchu widniał wyryty w skórze symbol. Przedziwne znaki, jakich Silvan nigdy nie widział, układały się w okrąg. – Znak mojego paktu z tobą.

Silvan zamrugał, aż uchylając ze zdziwienia usta.

– Co?

Agandel prychnął i przewrócił oczami, a Silvan drgnął zaalarmowany, kuląc się mimowolnie.

– Pakt. Jesteśmy powiązani paktem, Silvanie. Znam cię lepiej niż ty samego siebie, byłem światkiem twoich pierwszych kroków, słów, a nawet pierwszej kupy zrobionej nie w pieluchę, a do nocnika. – Uśmiechnął się z wyraźnym rozbawieniem, kiedy dostrzegł zakłopotane spojrzenie chłopaka. – Powiedzmy więc, że nie masz przede mną żadnych sekretów – dodał, a jego przerażające oczy wydawały się aż zabłyszczeć.

– Dlaczego... jesteśmy powiązani paktem? – zapytał Silvan, udając, że nie słyszał wcześniejszych krępujących słów istoty.

– Bo tak chciała twoja matka – odparł natychmiastowo Agandel.

– Mama?

– Twoja prawdziwa matka, Siena.

Silvan zadrżał niekontrolowanie. Przez jego umysł jak na zawołanie przewinęły się krwawe obrazy, aż wreszcie przypomniał sobie o mamie. O Irmie.

– Mama – sapnął, łapiąc się za głowę. – Bogowie – załkał. – To... to było naprawdę? To wszystko... Ojczym... Ian... on to zrobił, prawda? Zabił mamę... Bogowie... Powiedz mi że nie... – Spojrzał na siedzącego tuż obok, niewzruszonego Agandela. – Powiedz, że to mi się tylko przyśniło, że mama wciąż żyje! – Przysunął się do niego, zapominając o całym lęku, jaki budził w nim ten mężczyzna. Złapał go za ramiona, wpatrując się rozpaczliwie w jego twarz i szukając na niej czegoś, co wsparłoby go na duchu. Nadaremnie jednak, Agandel wydawał się nieskory do okazywania współczucia.

– Nie – odpowiedział spokojnie, pozwalając dłoniom Silvana zacisnąć się na swoich ramionach. – To się wydarzyło. – Kiwnął głową, na co w oczach chłopaka stanęły łzy. – Nie zwariowałaś, to wszystko miało miejsce. Twój ojciec został opętany, co prawda przez niskiej rangi demona, ale jednak. Dziwi mnie tylko, że coś tak prostego, jak tamten demon, wyczuło, że ma do czynienia z tobą. Kręcił się obok twego ojczyma już jakiś czas, musiał wiedzieć... – Marszczył brwi, ale Silvan nic z tego nie zrozumiał. Szybko odsunął się od Agandela i z powrotem wcisnął w ścianę.

Demony... o co tu chodziło? I dlaczego był w to wszystko zamieszany?

– Najchętniej znów bym cię uspił – mruknął Agandel, patrząc na Silvana uważnie. – Ale to nie zda egzaminu, musisz to przetrwać. Jak już mówiłem, mam na imię Agandel, jestem demonem i zostałem przywołany, wbrew swojej woli, niestety, żeby cię chronić. Silwanie, jesteś synem wiedźmy, w twoich żyłach płynie potężna krew, która, odkąd ukończyłeś pełnoletność, będzie ściągać na ciebie masę złych stworzeń, nieznanych w twoim świecie. Siena powierzyła mi zadanie, którym jest dostarczenie cię do jednego z jej przyjaciół. Mam zamiar jak najszybciej je wykonać, żeby znów być wolnym, dlatego dostajesz czas do jutra. Albo będziesz ze mną współpracować, albo uspię cię na długie tygodnie i wybudzę dopiero gdy znajdziesz się u Trevedica. A uwierz, po tak długim śnie będziesz równie długo wracać do siebie. – Na jego twarzy pojawił się przerażający uśmiech, który tylko wywołał u Silvana jeszcze większy strach. To, że ten mężczyzna nie był człowiekiem, nie budziło

już w Silvanie żadnych wątpliwości, jednak jego słowa... nie potrafił ich zrozumieć.

Jaka wiedźma? Jaki pakt?

– Ja...

– Masz jedną noc – powiedział głosem nieznoszącym sprzeciwu. – Tutaj na razie jesteś bezpieczny. – Ruchem głowy wskazał na drzwi pomieszczenia, na których ktoś narysował biały okrąg z całą masą przedziwnych znaków. – Zabezpieczyłem to miejsce przed demonami i złymi duchami, do rana to powinno wystarczyć. A rano wyruszymy...

– Czyli... mama nie żyje? – zapytał Silvan jeszcze raz, jakby z nadzieją, że dostanie inną odpowiedź. To najwyraźniej rozjuszyło Agandela, bo nagle wstał i wrzasnął:

– Do licha! Nie, nie żyje! Zabił ją twój ojciec opętany przez demona! Czego w tym nie rozumiesz?! Widziałeś to na własne oczy!

Silvan się zatrząsł. Skulił się jeszcze mocniej, jakby w obawie, że Agandel ponownie wybuchnie. Nic takiego jednak się nie stało, istota popatrzyła na niego już spokojniej, a kiedy dostrzegła, w jakim chłopak był oplakany stanem psychicznym, westchnęła ciężko i przysunęła się z powrotem do łóżka.

– Nie cofniesz już czasu – powiedział demon o wiele łagodniej. – Przepraszam, nie pojawiłem się w odpowiednim momencie, wybudzenie się z poprzedniej formy zajęło mi dłużej, niż myślałem.

Silvan popatrzył na niego załzawionymi oczami.

– Miałem tylko ją – wydusił płaczliwie. – Nikt na świecie mnie nie chciał, tylko ona...

– Nie. – Uciał Agandel. – Całe życie miałeś jeszcze mnie... to znaczy, ja również ciebie nie chciałem – dodał i machnął ręką. – Ale mimo wszystko, jestem obok i nie pozwolę, żeby stała ci się krzywda.

Silvan przełknął ślinę, Agandel był słabym pocieszycielem.

– Ja... chyba muszę się położyć spać – szepnął. – Możesz zrobić to...? – Zapytał i dla demonstracji przyłożył sobie dłoń do czoła. – Żebym zasnął? I

nie pamiętał? – Tak przecież byłoby teraz najlepiej. Nie chciał niczego więcej, tylko chwili zapomnienia.

Agandel przez moment wyglądał jakby znów miał stracić cierpliwość. Ostatecznie jednak pokręcił głową, opanowując się. Nie chciał jeszcze bardziej wystraszyć dzieciaka, musiał więc się hamować.

– Jeśli chcesz później normalnie funkcjonować, lepiej żebym ci tego nie robił. Mówiłem, możesz po tym długo wracać do siebie. Czułeś to, prawda? Kiedy się wybudzałeś? Ten ból. – Silvan kiwnął powoli głową. – Gdybyś ponownie zapadł w ten sen, bolałoby bardziej – wyjaśnił, na co Silvan tylko wzruszył ramionami.

– Może i lepiej? Przynajmniej skupiłbym się na czymś innym...

Demon prychnął nagle i pokręcił głową.

– Nie bądź głupi. Srać też chcesz pod siebie? – warknął. – Bo do tego ten sen może cię doprowadzić. Uwierz, również chciałbym zamknąć ci nim usta. – Przewrócił oczami. – Ale ewentualne dostarczenie cię do Trevedica w postaci rośliny nie mieści się w ramach naszego paktu. Masz być w pełni zdrow.

Silvan posłał mu zmęczone spojrzenie, nawet nie próbując już analizować słów demona. I tak nic z tego nie rozumiał. W przeciągu jednej nocy jego świat całkowicie się zmienił. Obudził się w koszmarze z jakimiś demonami... i co najgorsze, ten koszmar zdawał się być rzeczywistością, a nie tylko senną marą.